

WYZWOLIĆ BIOETYKĘ

Medyczne wspomaganie prokreacji, badania nad embrionem, klonowanie: za każdym razem, gdy człowiek staje w obliczu bezprecedensowych okoliczności, porusza się po omacku, poszukując nowych reguł życia. Władza medycyny fascynuje. Jeśli zaś chodzi o bioetykę, odpowiada ona na zupełnie nowe wyzwania, jakie stwarza postęp praktyk biomedycznych w dziedzinach takich, jak dar organów, czy – zwłaszcza – prokreacja. Odkrywczy przesuwają stale granice wiedzy naukowej i praktyk dotyczących życia ludzkiego. Trzeba ogarnąć umysłem doniosłość tych nowości, ażeby zrozumieć, co warunkuje naszą bioetykę. Dojdziemy wówczas do wniosku, że ta dziedzina jest oparta na wstydlwym nadużyciu i na wymuszonych przemilczeniach. Aby wyjść z impasu i uwolnić bioetykę z typowych dla niej uwarunkowań, konieczne jest uświadomienie sobie kilku rzeczy.

Rewolucje dotyczące początku życia

Relacje zachodzące pomiędzy człowieczeństwem jako takim i początkiem życia ludzkiego zmieniły trzy rewolucje.

Rewolucja pierwsza: techniki medycznego wspomagania prokreacji umożliwiły przede wszystkim seksualne rozmnażanie się bez stosunku seksualnego. Technika zapłodnienia *in vitro*, połączona z możliwością zakonserwowania – poprzez zamrożenie – gamet męskich lub embrionów w ich pierwszym stadium, całkowicie zmieniła niezmiennie dotąd reguły filiacji i jej otoczenia prawnego. Wystarczy jeden świeży przykład, by ukazać znaczenie tej rewolucji. Jeden z południowoafrykańskich sądów przyznał dwóm kobietom żyjącym w związku homoseksualnym status rodziców dwojga dzieci urodzonych wskutek zapłodnienia *in vitro* jajeczek jednej z nich (spermatozoidami pochodzącymi od anonimowego dawcy spermy), które po zapłodnieniu zostały umieszczone w macicy drugiej kobiety. Czyż z punktu widzenia owych dzieci można zaprzeczyć, że obydwie kobiety są – każda na swój sposób – ich matkami? Jedna jest ich matką biologiczną, druga je

urodziła; obie razem je wychowują. Niektórzy więc twierdzą, że „sztuczne” rozmnażanie umożliwiło uniezależnienie od siebie trzech „składowych” macierzyństwa: genetycznej (dawczyni jajeczka), biologicznej (matka nosicielka) i uczuciowej (matka żywicielka i wychowawczyni, na przykład adopcyjna). Dzięki sztucznemu rozmnażaniu, kobieta niezdolna do wypełnienia z różnych powodów pierwszej lub drugiej z dwóch pierwszych składowych, mogłaby dostąpić dwóch pozostałych. Można nie tylko wyobrazić sobie, że trzy różne kobiety roszczą sobie prawo do swojej części macierzyństwa (i związanych z nim uprawnień), ale także, że w ten sposób poczęte dziecko rości sobie prawo do kilku matek i żąda od nich wypełniania ich roli, chociaż pozbawia się go ojca, który graniczy z niebytem, albowiem nie sposób jest go odnaleźć. Abstrahując od strasznej niesprawiedliwości, jaką jest odmawianie dziecku prawa do pochodzenia od ojca i matki, trzeba przyznać, że w obliczu dokonanego faktu owego prokreacyjnego majsterkowania zrobiono słusznie odwołując się do pomocy prawa w przypadku, gdy w szranki stają dwie, albo nawet trzy matki.

Rewolucja druga: narodziny Dolly, pierwszej sklonowanej owcy, znowu zbulwersowały cały system odniesienia prokreacji. Po raz pierwszy uwolniono się bowiem od niezmiennej zasady reprodukcji seksualnej ssaków. Oczywiście, trzeba było użyć komórki płciowej, pochodzącej od samicy, ale wyłącznie jako łożyska – żywiciela: wyrzeczono się jej dziedzictwa genetycznego, zastępując jej jądro komórką dorosłego osobnika, aby „odtworzyć” tego ostatniego w niemal identycznej postaci, fotokopii zgodnej z oryginałem, przynajmniej jeśli chodzi o dziedzictwo genetyczne. Jeśli klonowanie człowieka dojdzie do skutku, to będziemy mieli do czynienia z kolejną zmianą punktów odniesienia dla gatunku ludzkiego. Dotychczas każda osoba wywodziła się bezpośrednio z dwóch gamet, to znaczy z genetycznego ojca i matki, znanych lub nie. Wraz z klonowaniem, to prawo biologiczne przestaje być absolutne i trudno sobie wyobrazić, do jakich genealogicznych aberracji mogłyby nas doprowadzić tego rodzaju praktyki. Podwójne wyswobodzenie się: z więzów czasu i z filiacji, umożliwia nigdy wcześniej niespotykane drzewa genealogiczne.

Rewolucja trzecia: związana z dwoma poprzednimi wstrząsami, jest – naszym zdaniem – jeszcze bardziej radykalna, chociaż nie najbardziej spektakularna. Chodzi o zapoczątkowanie doświadczeń na żywych istotach ludzkich wyłącznie dla celów badawczych. Prokreacja została nie tylko uniezależniona od jej zwykłych metod, ale zmienia się również jej cel. Prokreuje się już nie po to, by dać życie nowym istotom ludzkim,

ale po to, by posługiwać się nimi jako materiałem laboratoryjnym, który się zniszczy, by przedłużyć inne życia.

Bardzo ważne jest zdanie sobie sprawy z tego, że techniki zapłodnienia *in vitro* zrodziły się w efekcie tego wielkiego nadużycia, które przeszło niepostrzeżenie z powodu ogromnego entuzjazmu, jakie wywołały dzieci z probówki, „ofiarowane” bezpłodnym parom. Badacze przyznali później, że aby uzyskać Lucy Brown, albo – we Francji – małą Amandine, zaczęli od wypróbowania tych technik, zapładniając własnym nasieniem komórki jajowe pobrane – za ich zgodą – od kobiet, u których przeprowadzali zabieg podwiązania jajowodów (ostateczna sterylizacja chirurgiczna). Po raz pierwszy w historii ludzkości istoty ludzkie zostały świadomie potraktowane w sposób instrumentalny w celu przeprowadzenia badań, bez najmniejszej szansy przyjścia na świat. Na obecnie stosowanych praktykach medycznego wspomaganie prokreacji ciąży więc to poważne nadużycie. Prawdą jest, że będące dziś przedmiotem dyskusji prawo bioetyczne zakazuje tworzenia embrionów do celów badawczych. Zamierza ono także zakazać doświadczeń na embrionach (z wyjątkiem embrionów „nadliczbowych” nie będących przedmiotem „projektu rodzicielskiego”). Zakazuje również klonowania w celach badawczych, zwanego „terapeutycznym” (a nie tylko klonowania, którego celem byłoby danie życia dzieciom – klonom, zwanego „reprodukcyjnym”). Jednak wielu badaczy domaga się zniesienia tych ograniczeń w imię postępu naukowego: zapasy nadliczbowych, porzuconych embrionów, które im się pozostawia, już ich nie zadowolają; chcą mieć prawo do klonowania istot ludzkich. Niektórzy, jak profesor Frydman, twierdzą dziś otwarcie, że kiedy doświadczenia na embrionach przyniosą rezultaty, klonowanie „terapeutyczne” stanie się niezbędne, aby stworzyć nowe lekarstwa i zapewnić ich kompatybilność immunologiczną. „Gwarancja etyczna”, proponowana przez tych badaczy, którzy uważają się za rozsądnych, to niszczenie klonów! Potępiają oni natomiast – jako odrażające – praktyki klonowania w celach reprodukcyjnych, którymi szczyłą się rozmaici, nie liczący się z niczym uczniowie czarnoksiężnika, tacy jak: doktor Antinori czy sekta Raelian. Paradoksalnie, konsensus powstał właśnie przeciwko klonowaniu reprodukcyjnemu, tak naprawdę najmniej niehumanemu, albowiem nie prowadzi ono do poświęcenia klona. Okazuje się zatem że większe obawy budzi znalezienie się twarzą w twarz z klonem niż świadomość, że zostanie on zniszczony w trakcie procesu badań.

Kamuflowanie oczywistości

Po stworzeniu w laboratorium ludzkiego embriona, mając go w zasięgu ręki, badacz stanął wobec konieczności znalezienia odpowiedzi na pytanie, fundamentalne dla jego dalszej pracy: rzecz czy osoba? Ta alternatywa narzuca się nagle jego sumieniu. Jest ona fascynująca, ale spóźniona. Bowiem debata zaczyna się w momencie, gdy stoimy już przed faktem dokonanym: życie ludzkie już istnieje, w swoim stadium początkowym, najbardziej bezbronnym. Czy można przyznać mu podstawowe prawa przysługujące istotom ludzkim?

Ponieważ wydaje się to niemożliwe, wynaleziono pojęcie bioetyki: z politycznego i społecznego punktu widzenia, społeczeństwo wydaje się niezdolne do wycofania się z już zalegalizowanych nadużyć godzących w życie ludzkie. Bioetyka jest więc bardziej dialektyczną sztuką kamuflowania prawdziwych celów etycznych, aniżeli prawnym wsparciem tych praktyk. Bezustannie podporządkowuje się ona powszechnie przyjętym praktykom. Komitety Etyki należy zresztą traktować raczej jako organa polityczne niż jako autorytet moralny. Prymat poglądów naukowców nad poglądami rzeczników etyki jest coraz bardziej niepodważalny w tych debatach. Potwierdza to Marc Peschanski, dyrektor ds. badań w INSERM: „Nauka jest społeczną działalnością wspólnoty światowej i w tym sensie nie może być hamowana przez wyrażanie poglądów filozoficznych, politycznych, religijnych czy innych, które obejmuje określenie etyka (...). Badania naukowe są, same w sobie, wartością etyczną, bowiem ich powołaniem jest zdobywanie wiedzy służącej udoskonalaniu społeczeństwa ludzi” (La Croix, 12 marca 2003). Mając do czynienia z takim totalitaryzmem naukowym, należy przyznać bioetyce, że próbuje ona chociaż ograniczyć nadużycia. Ale jak ma się to jej udać, skoro odmawia ona udzielenia odpowiedzi na najprostsze pytanie: jak chronić istotę ludzką przed prawem silniejszego?

Mając wielokrotnie do czynienia ze specjalistami od debat bioetycznych – przywódcami politycznymi czy przedstawicielami administracji, członkami różnych komisji ds. etyki, itp. – słyszałem często, jak z pełnym rezygnacji westchnieniem mówili o „złożoności” wyzwań etycznych w dziedzinie biomedycyny. W rzeczywistości jednak wyzwania te są proste i wielu moich rozmówców w końcu przyznawało, że ich problem polega prawdopodobnie właśnie na tym, że są one „zbyt” proste. Chociaż „wyczyny” techniczne w dziedzinie prokreacji są coraz bardziej skomplikowane i chociaż ich konsekwencje dla ludzkości są niewyobrażalne, to – kiedy mamy do czynienia z ludzkim

zarodkiem i gdy trzeba zaproponować odpowiednie przepisy prawne dotyczące jego ochrony – nasza ocena etyczna wymaga postawienia sobie jednego tylko pytania: czy chodzi o żyjącą istotę ludzką, czy też nie? Etyka obnaża tu całą swą prostotę. Bioetyka próbuje zaś niepotrzebnie komplikować. Serce człowieka jest tu wyjątkowo złożone: odczuwa potrzebę zmylenia własnego sumienia, gdy chce zakwestionować człowieczeństwo bliźniego, aby odmówić mu prawa do życia. Tak się dzieje wówczas, gdy porównujemy do daru jakiegoś ludzkiego organu wykorzystywanie żywych zarodków do badań, chociaż pozostaje ono w całkowitej sprzeczności z zasadami, które towarzyszą takiemu darowi. A są to: świadome przyzwolenie dawcy oraz poszanowanie jego integralności. Aby sobie jakoś z tym poradzić, argumentuje się zatem, że dawcami zarodków są rodzice, co oznacza sprowadzenie zarodka do roli organu będącego ich wspólną własnością.

A przecież konieczność respektowania każdego życia ludzkiego od chwili poczęcia jest w coraz większym stopniu naukową oczywistością, pod warunkiem jednak, że się zgodzimy, iż rozmyślne skazywanie istoty żywej na śmierć jest czynem bezprawnym. Tak jest w krajach takich jak nasz, w których została zniesiona kara śmierci.

Jak to wykazać? Ludzkość może zostać przedstawiona jako domek z kart, ludzka piramida, w której każdy zajmuje swoje miejsce, zgodne z jego rangą zależną od systemu wartości, przyjętego w społeczeństwie: rokujący najwięcej sukcesów – na górze, najmniej – na dole. Właśnie na samym dole, gdzieś z boku, znajduje się – moim zdaniem – płód z dodatkowym chromosomem, czy też embrion dotknięty miopatią. Jeden i drugi są archetypami istot odrzuconych w wyniku selekcji dokonanej jeszcze przed narodzeniem. Jeden i drugi zostają usunięte, jeśli ich ułomność uda się wykryć bądź wskutek badań prenatalnych, po których następuje tzw. aborcja terapeutyczna, bądź wskutek badań przedimplantacyjnych, po których następuje zniszczenie zarodka podejrzanego o to, że „nie jest zdrowy”. Jeśli przyjdą na świat, dosyć wcześnie wystąpią u nich – według lekarzy – symptomy poważnej choroby genetycznej. Jeśli jednak usunę tę tak słabą kartę z samego dołu domku z kart, to całość konstrukcji runie od dołu do góry, tak że nobliści, supermodelki i zwykli obywatele, bez żadnej różnicy – wszyscy padną na ziemię! Nie uratuje się żadna jednostka. Zdrowy rozsądek wskazuje zatem, że ani wczesna faza rozwoju, ani wysoki stopień upośledzenia, nie upoważniają do odmawiania prawa do godności embrionowi z miopatią czy płodowi z dodatkowym chromosomem. Żaden uczony nigdy nie był w stanie wyjaśnić nam w sposób

wiarygodny, że pomiędzy stadium rozwoju embriona a wiekiem dorosłym istnieje jakiś niepodważalny etap biologicznego rozwoju, który świadczyłby o pojawieniu się godności. Wprost przeciwnie, od chwili poczęcia, czyli tego jedynego momentu radykalnej zmiany natury, aż do tego, czym jesteśmy, prowadzi *continuum* rozwoju. Jeśli embrion nie byłby godzien szacunku, to żaden dorosły człowiek nie mógłby się silić na udowodnienie, że jest go godzien. A jednak ani coraz bardziej nadzwyczajne zdjęcia życia wewnątrzmacicznego, ani coraz bardziej precyzyjne odkrycia psychologii zarodka, a nawet wpływu „kontekstu poczęcia” na psychologię, nie zmieniły ogólnego odczucia, że ów embrion ludzki jest istotą „pozaziemską”. Człowiek ma tendencję do ukrywania rzeczy oczywistej, że sam był kiedyś zarodkiem ludzkim, godnym miłości i szacunku. Co więcej, upośledzenie tworzy dodatkową sztuczną granicę wykluczenia u progu człowieczeństwa, granicę, którą próbuje się uczynić nieprzekraczalną dla istot nie odpowiadających ustalonym samowolnie kryteriom jakości przyszłego życia. A przecież pomiędzy upośledzeniem określanym jako poważne, które ujawnia się wcześniej, a naszym własnym stanem zdrowia, lepiej czy mniej znanym, zważywszy na wszystkie choroby genetyczne znajdujące się w stanie uspiętym w naszym dziedzictwie, któż może wskazać różnicę, która czyniłaby nasze życie godnym szacunku, a ich życie – nie? Na ziemi istnieją tak liczne stopnie upośledzenia i tak liczne rozwijające się choroby, że niemożliwe jest zarówno ich logiczne stopniowanie, jak i próby odróżnienia życia „godnego przeżycia” od tego, które nim nie jest. Można więc wykazać konieczność respektowania najwcześniejszego i najbardziej upośledzonego życia ludzkiego, podobnie jak to, że nie ma żadnych powodów, aby – w społeczeństwie eugenicznym – nasze własne życie było zagwarantowane. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z jednej rzeczy: takie dowody nie przekonują nikogo. W każdym razie nie zapobiegają eugenicie, czyli temu kolejnemu zbaczeniu z kursu praktyk biomedycznych, i coraz bardziej przesadnym żądaniom niektórych badaczy. Mając jednak do czynienia z wyżej wymienionymi interlokutorami, zostajemy zmuszeni do przyznania, że dawno pożegnaliśmy się z rozumem, skoro bronimy jeszcze embriona.

Obskurantyzm usprawiedliwień

W obliczu podważania rzeczywistości naukowych przez samych naukowców pozostaje nam jedynie zainteresowanie się motywami psychologicznymi i przyczynami politycznymi, które prowadzą do

usprawiedliwiania tego, co wydaje się nam tak bezdyskusyjnie nierozsądne. Ponieważ bioetyka jest w dużym stopniu sztuką gmatwania spraw, musimy je odplątać. André Frossard zasygnalizował pilną konieczność uczynienia tego dla dobra przyszłych pokoleń: ażeby wybrać dobro przeciwko złu, potrzebna będzie nie tylko odwaga; potrzebna będzie także większa zdolność rozpoznawania. Tymczasem tak się dzieje dziś, gdy określamy jako „terapeutyczne” praktyki, które niszczą bez wątpienia życie ludzkie w imię „postępu”, nie gwarantując nikomu żadnych korzyści... Bioetyka zaś jest zagmatwana dlatego, że narodziła się z niemożliwego do dokonania wyboru. Jakie reguły prawa można (trzeba) zastosować do tego stworzenia, w którym chce się widzieć hybrydę? Jest ono w zasięgu naszej ręki, tej ludzkiej ręki, która nam służy, od najmłodszych lat, do manipulowania wszystkim. Stworzenie może być dla nas użyteczne. Może ewentualnie odpowiedzieć na beznadziejne oczekiwanie bezpłodnej dotychczas pary. Może także służyć badaniom naukowym, aby móc ratować kiedyś życie. Co znaczy początek życia, mający postać skupiska komórek, kiedy jego poświęcenie umożliwiłoby przedłużenie życia w pełni widzialnego, ulżenie krzyczącym cierpieniom i uleczenie plag, takich jak choroba Alzheimera czy Parkinsona? Niewątpliwie, zostały otwarte drzwi na robiący ogromne wrażenie świat: chodzi tu przecież o samo życie. Przeczujemy, że jest to niemożliwa do zbadania przepaść. Nie chcemy ani się w niej zagubić, ani zamknąć do niej dostępu.

Bioetyka bywa wykorzystywana raczej po to, aby uspokajać w obliczu tej czeluści, aniżeli po to, by mówić, co będzie dobre, a co złe. Znaczące jest zresztą stwierdzenie powściągliwości bioetyków wobec pojęć absolutnych. Bioetyka jest przede wszystkim dyskusją. Jest to dyskusja zarówno polityczna, jak i prawna. Jej kultura konsensusu zmierza do dania pierwszeństwa pytaniom kosztem odpowiedzi i rozwojowi praw nad prawami uznanymi za nienaruszalne. Wykazuje więc ona nieufność wobec wszelkich przekonań.

Bioetyka próbuje zapewnić sobie czyste sumienie, nie sondując głębi sumienia. Pretenduje do otwarcia strefy pośredniej pomiędzy prawem rzeczy i prawem osób. Jej przejściowe normy będą zapożyczeniami z dwóch światów prawa, które dotychczas mieliśmy zwyczaj oddzielać.

Ale bioetykę można też podejrzewać o sięgające samych jej początków wzdraganie się przed uznaniem człowieczeństwa embriona. Nie jest więc to w żadnym razie materia niczym nieskrępowana. Stwierdzamy to regularnie na podstawie wypowiedzi specjalistów naszpiko-

wanych zwodniczymi usprawiedliwieniami, łatwymi do podważenia sylogizmami i opartą na manipulacji dialektyką. Wielu z nich, przerażonych praktycznym znaczeniem tego, co zostałoby im objawione, wydaje się rezygnować z posługiwania się własną inteligencją. To zaćmienie świadomości wyjaśnia obskurantyzm usprawiedliwień naruszania godności embriona. I tak René Frydman przedstawia w *Libération* (28 lutego 2003) koncepcję, która przeważa dziś u wielu naukowców: „Czy należy mówić o embrionie, czy też o bruzdkującym jaju ludzkim, albo przedembrionie? Z fizjologicznego punktu widzenia jest to oczywiście jedno i to samo, ale nie ma tej samej konotacji moralnej. Określenie embrion kojarzy się zbyt często w wyobraźni z miniaturowym dzidziusiem. Bruzdkujące jajo, albo przedembrion przed stadium implantacji, mogą być traktowane różnie, zależnie od losu, jaki się im gotuje. Ten los zależy zaś od punktu widzenia tego czy tej, którzy go stworzyli. Jeśli jest wpisany w projekt powołania do życia dziecka, musi być chroniony; natomiast jeśli nie wpisuje się w taki projekt, to obietnica, którą w sobie nosi, nie może się spełnić, trzeba więc traktować go jako zbiór komórek” Tak oto na bazie teorii zamysłu rodzicielskiego lekarz decyduje o przejściu embriona od statusu rzeczy do osoby. Jest to więc teoria totalitarna, albowiem o człowieczeństwie orzeka się tutaj na podstawie samej tylko woli bliźniego. Oznacza to siłą rzeczy cofnięcie się w czasie i przywodzi na myśl prawo rzymskiego *pater familias* do decydowania o życiu i śmierci dziecka. Umożliwia też wszelkie nadużycia, gdy embrion przestaje być chroniony przez jego własnych rodziców.

Nawet sam minister zdrowia powtarzał wielokrotnie, że gdyby jego córka była ciężko chora, a do jej uzdrowienia byłyby potrzebne embriony, to nie zawahałby się udać za ocean, aby je przywieźć! Chcąc usprawiedliwić brak ochrony takich embrionów, ci, którzy roszczą sobie prawo do manipulowania nimi, przechrzcili je na zbiory komórek, morule, zygoty, przedzarodki, a nawet humanoidy (odnośnie do klonów). Próbowali także ustanawiać nowe granice: dla jednych – czternaście dni, dla innych – implantacja w macicy kobiety. Wyjaśniali, że ponieważ embrion *in vitro* nie jest w stanie sam sobie poradzić, jego istnienie nie jest oczywiste. Można wyobrazić sobie podobne teorie zastosowane do ofiar wypadków drogowych czy też dzieci opuszczonych czy porzuconych... Przed kilkoma laty Jean-Francois Mattei zaproponował zarezerwować status istoty ludzkiej wyłącznie dla embrionów znajdujących się w macicy kobiety i będących przedmiotem planu rodzicielskiego. Przy takiej definicji człowieczeństwa należałoby

mieć nadzieję, że nie uda się nigdy dojść do macierzyństwa pozacielesnego, trzeba by bowiem było wówczas wytłumaczyć w ten sposób wyprodukowanej, już i tak uszkodzonej z racji całkowicie sztucznego powstania istocie, że nie należy do naszego gatunku.

Cierpienie i emocje

Skąd takie zaślepienie? Przede wszystkim z racji uzasadnionych emocji, jakie powoduje cierpienie. To, że bioetyka zbacza z kursu, nie zwalnia nas od uświadomienia sobie ogromu rozpaczliwych par, dramatu bezpłodności biologicznej, powodowanej przez przyczyny medyczne, albo związanej z orientacją seksualną, brutalności niektórych chorób i ich wpływu na rodzinę, powszechnego strachu przed śmiercią. Kiedy upragnione dziecko czy uzdrowienie wydają się wyobrażalne, na niektóre sumienia spada zasłona. I mało kto ośmiela się to kwestionować. Wielu rodziców jest gotowych na wszystko, prokreacyjni lekarze także, rozdają więc im szczęście w postaci długo upragnionych dzieci, których przyjście na świat będzie oklaskiwane. Czy można postępować inaczej? Co powiedzieć, gdy osoby niepełnosprawne, takie jak amerykański aktor Christopher Reeves, domagają się klonowania i eksperymentów na embrionach, aby wyzdrowieć? Podobna inicjatywa została wysunięta we Francji pod patronatem AFM (Stowarzyszenia Zwalczenia Miopatii). Grupa związanych z nim pacjentów, przeszkolonych przez wysokiej rangi ekspertów, zadekretowała jednogłośnie, że nie ma żadnej etycznej przeszkody w eksperymentowaniu na nadliczbowych embrionach. Zażądała także klonowania dla celów terapeutycznych, importu komórek pochodzenia embrionalnego i wykorzystywania komórek usuniętych płodów... Wszyscy deputowani otrzymali jego wnioski. Zapytany o to w telewizji rzecznik tego stowarzyszenia powiedział, że tego rodzaju badania są tak czy inaczej „jedynym wyjściem z sytuacji”. Jest to potwierdzenie uwarunkowania, które ciąży na rozpoznaniu bioetycznym: cel miałby uświęcać środki. A przecież w podobnych przypadkach, w których oczywistość korzyści terapeutycznej jest w dodatku bardziej ewidentna, człowiek doskonale potrafi opierać się presji, jaką stanowi potrzeba daru organów. Mimo iż dzięki przeszczepowi organów można by uratować życie wielu ludzi, to wzdragamy się przed narzuceniem takich praktyk na mocy prawa, a tym bardziej przed wyobrażeniem sobie, że można by pobierać organy od osób żywych.

Ten sam dialektyczny proces „transferu emocji” zostaje wykorzystany dla usprawiedliwienia badań przedimplantacyjnych. Kiedy profesor

Nisand objaśnia jego funkcjonowanie, budzi w nas emocje, które pociągają za sobą przyzwolenie. Oto rodzina dotknięta miopatią, która straciła już jedno dziecko we wczesnym wieku, a następnie przeszła usunięcie – „z przyczyn medycznych” – zarodka również naznaczonego tą chorobą. Wstrząśnięci tymi przeżyciami rodzice rezygnują z dania na nowo życia. Wówczas proponuje się im zapłodnienie *in vitro*. Dokona się selekcji embrionów według płci, aby dokonać wyłącznie implantacji dziewczynek (u których, chociaż są one nosicielkami tej ułomności, w przeciwieństwie do chłopców nie rozwija się choroba). Będą tymi bobasami, symbolem zwycięstwa życia nad chorobą, które pokazuje się w telewizji. W ten sposób emocje wywołane przez cierpienie stłumiły możliwość etycznego rozpoznania; najbardziej dotknięci ową utratą świadomości są sami naukowcy, nie tylko dlatego, że stykają się bezpośrednio z cierpieniami, którym chcą ulżyć, ale też dlatego, że zaślepią ich własny interes.

Zmowa milczenia

Dzielenie ze współczuciem cierpienia osób, które przeżywają te dramaty, jest konieczne. Ale równie konieczne jest ujawnianie tego, co w takich sytuacjach ukrywa się starannie przed opinią publiczną. Nie mówi się mianowicie o tym, że ceną życia dziecka z próbki jest śmierć jego licznych braci stworzonych, a następnie unicestwionych właśnie z powodu upośledzenia, jakie ten zabieg miał wyleczyć. Jak można to głośno powiedzieć, skoro przed kamerami telewizji składają świadectwa dzieci w wózkach inwalidzkich, które tego rodzaju zabiegi mogły wyeliminować?

Milczenie na temat kulisów medycznego wspomaganie prokreacji, badań przedimplantacyjnych i klonowania jest także znaczące. Brigitte Fanny-Cohen, w swojej książce-świadectwie: *Un bébé, mais pas a tout prix* (Dziecko, ale nie za wszelką cenę – 2001) ujawniła szczegóły kombatanckiego szlaku kandydatek do medycznego wspomaganie prokreacji, które wcześniej przed nią ukryto: stymulacja jajników, dokuczliwe punkcje, uczucie, że jest się przedmiotem „prokreacyjnej zawziętości”, bardzo duży odsetek niepowodzeń, szok psychologiczny, powodowany przez ponawiane próby, których żąda się bez przerwy. Rodzice odkrywają, że mają embriony „w zamrażalniku” i że otrzymali prawo do decydowania o ich losie: dalsze ich zamrażanie, implantacja, dar czy zniszczenie, a wkrótce również eksperymenty. Psychologiczne reperkusje tej nowej odpowiedzialności rodzicielskiej nie zostały jeszcze

zmierzone. Podobnie lekceważy się wpływ zapłodnienia *in vitro* na poczęte w ten sposób dzieci. Anonimowość daru gamet pozbawia dziecko możliwości poznania swych biologicznych korzeni od strony ojca. U dzieci poczętych w laboratorium, które przez dłuższy lub krótszy okres znajdowały się w stanie zamrożenia, zaczyna się obserwować „syndrom cudem uratowanego”; mogą one być z tego powodu nadmiernie rozpieszczane przez rodziców. Wreszcie mamy do czynienia z nowymi sekretami rodzinnymi, kiedy ukrywa się przed dzieckiem technikę prokreacji, która umożliwiła mu przyjście na świat, albo prawdę na temat jego biologicznego pochodzenia, jeśli wywodzi się z anonimowego daru gamet czy embriona. Na ogół większość rodziców nie ma pojęcia o tym, ile embrionów zostało stworzonych i zniszczonych podczas procesu prokreacji. Los tych istot ludzkich okrywa milczenie. Nie wiadomo zresztą, ile „nadliczbowych” embrionów jest obecnie przechowywanych w chłodniach – to bardzo odkrywcze stwierdzenie w chwili, gdy prawo zamierza dopuścić i ująć w ramy eksperymenty na tych „zapasach”

Klonowanie nie wymyka się tej zmowie milczenia. W 1994 roku, aby uniknąć ustanawiania prawa, które zakazałoby jego praktykowania, uznano, że jest ono wytworem fantazji. Kiedy przyjście na świat Dolly zadało temu kłam, początkowo próbowano włożyć do jednego worka klonowanie komórek (wykorzystywane na przykład do przeszczepów skóry) z klonowaniem reprodukcyjnym, które „tworzy embriona”. A dziś próbuje się przedstawiać jako różnicę natury różnicę celu, która istnieje pomiędzy klonowaniem do celów badawczych a klonowaniem, którego celem jest danie życia dziecku-klonowi. Określenie: „terapeutyczne” zostało już zresztą podważone przez badaczy jako nadużycie, zważywszy na jego rzeczywiste zamiary (Axel Khan). Lionel Jospin, a następnie Roger-Gérard Schwartzenberg, próbowali przechrzcić je na „transfer jądra komórki somatycznej”, aby zdjąć z niego odium, jakie ciąży na słowie „klonowanie”, zwłaszcza odkąd sekta Raelian twierdzi, że udało się jej go dokonać. Ta gra słów ma na celu manipulowanie opinią publiczną.

Sprzeczności w wypowiedziach przywódców politycznych i specjalistów od bioetyki dowodzą, jak bezsensowne są zapory, które chcą wznieść – jak twierdzą – w środku brodu. Jean-Francois Mattei, popierający dotąd klonowanie „terapeutyczne”, dziś mówi, że jest przeciwny tej praktyce, bardziej z powodu niemożności zapobieżenia ryzyku niekontrolowanego przejścia do klonowania reprodukcyjnego niż ze względu na samą zasadę. Wyczuwa się zatem, że jest to postawa

wyczekująca. Dziś opowiada się on za eksperymentami na nadliczbowych embrionach, podczas gdy w ubiegłym roku wyrażał sprzeciw wobec tej praktyki, „bo embrion ma w sobie coś ze świętości” Ale jak można uniknąć tego rodzaju wahań? Skoro rozpoczynające się życie nie jest respektowane, to nie można zagwarantować ochrony jakiegokolwiek życia.

Przed dziesięcioma laty odkryto dzięki studiom INSERM, że większość młodych położnic opowiada się za wyeliminowaniem upośledzonego dziecka w ciągu trzech pierwszych dni po urodzeniu. Lekarze byli oburzeni. Jeden z nich stwierdził, że narodziny są świętą granicą, za którą nie można podnieść ręki na życie. Ale przecież narodziny mogą zostać wywołane, przyspieszone, albo nawet opóźnione... Jak więc można utrzymywać, że mogą one stanowić jakąkolwiek barierę etyczną? Nie należy się więc dziwić, że mnożą się celowe eutanazje, dokonywane w naszych szpitalach na upośledzonych noworodkach.

Jednak milczenie nie może trwać wiecznie. Czasami prawda o życiu wychodzi na światło dzienne. Kiedyś, przed kamerami telewizji, zapytano pewną kobietę o redukcję embrionów, którą przeszła, gdy nosiła w łonie trojaczki. Początkowo zaczęła wyrażać podziw dla wysokiego poziomu tego technicznego zabiegu, który umożliwił usunięcie jednego z zarodków, bez uszczerbku dla dwóch pozostałych. Potem wybuchnęła płaczem i opowiedziała, jak bardzo cierpi patrząc na swoje bliźniaki: „Zastanawiasz się: który?” W ten sposób świadectwo ciała i serca oświeśla czasami zaciemniony umysł.

Kierunek historii

Kiedy król Francji Henryk II został ciężko ranny w turnieju, wówczas aby go uratować próbowano na próżno wykorzystać ówczesną bioetykę, zadając kilku galernikom ten sam cios w oczodół złamaną lancą. Chodziło o przetestowanie leczenia, które umożliwiłoby uratowanie monarchy. Nikt nie przejmował się wówczas tym, co dziś napawa nas wstrętem. Cóż było warte życie skazańca w porównaniu z życiem króla? Poświęcenie ich zostało potraktowane jako element terapii. Król jednak i tak zmarł. Podobnie człowieczeństwo amerykańskiego Indianina zostało uznane dopiero po długich debatach. Będąc cudzoziemcem z daleka, barbarzyńcą, przedmiotem zakus ekonomicznych, antropofagiem, adeptem składania ofiar z ludzi, Indianin nie miał przez całe wieki większych szans obrony niż dziś embrion. Ale

społeczeństwo potrafiło w końcu uznać jego człowieczeństwo. Później nie brakowało argumentów ekonomicznych i politycznych na rzecz utrzymania niewolnictwa. Znalazło się nawet stowarzyszenie niewolników, żądające utrzymania tego procederu... A jednak kilka osobistości zdołało zhumanizować nasze społeczeństwo, doprowadzając do zniesienia tej praktyki.

Takie przykłady pokazują, że kierunek, w jakim idzie historia, przemawia za rosnącym poszanowaniem istoty ludzkiej, nawet jeśli w odniesieniu do embriona wymóg ten wydaje się dziś zderzać z potężnymi interesami.

Jak przyspieszyć ewolucję tej historii? Na razie zdrowy rozsądek jest ignorowany. Przekonują ludzi obskurantkie argumenty, które mu urągają. Manipuluje się emocjami. Rozszerzył się obszar milczenia.

Przede wszystkim nie należy tracić wiary w prawdziwy postęp, który wzdraga się przed nieludzkimi praktykami. Istnieją inne metody niż instrumentalizacja embriona, a ich skuteczność zostanie wkrótce udowodniona. Podobnie będzie z innymi sposobami zwalczania bezpłodności i upośledzeń. Należy je wspierać, albowiem to nieprawda, że jesteśmy skazani na manipulowanie życiem.

Trzeba również kontynuować pracę uświadamiającą. Nasze społeczeństwo jest zdolne do naukowego kontrolowania rozpoczynającego się życia, bowiem embrion rozwija się na jego oczach, znajduje się w zasięgu jego ręki. Jak mogłoby wiecznie negować oczywistość jego człowieczeństwa? Pomogą mu w tym coraz liczniejsze świadectwa: świadectwa ofiar błędów etycznych, a także świadectwa licznych myślących ludzi, którzy zaczynają zadawać sobie pytanie o granice naszego sposobu traktowania współczesnych wyzwania.

Pozostaje wreszcie wielkie wyzwanie, jakim jest uczłowieczenie ludzkiego embriona w sercach ludzi. Kluczem do tego postępu jest w dużym stopniu podejście do najślabszych i najbardziej (widocznie) uzależnionych od innych naszych współobywateli. Jeśli spojrzymy na wspomnianą wyżej najślabszą kartę przez pryzmat Ewangelii, wyda się nam ona asem kierowym. To tajemnicze upodobanie ubogich, które poświadczają słowa Chrystusa: „Baczcie, żebyście nie gardzili żadnym z tych małych; albowiem powiadam wam: Aniołowie ich w niebie wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mojego, który jest w niebie” (Mt 18, 10), a zwłaszcza: „W tej to chwili rozradował się Jezus w Duchu Świętym i rzekł: «Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom»” (Łk 10, 21). Nie chodzi już o okazanie szacunku dla

tego życia ani nawet o wielkoduszność wobec niego. Chodzi o danie świadectwa zachwytowi, jakiego można doznać podczas obcowania z ubogimi i małymi. Trzeba przekazać to, czym oni promieniają. Nie wymaga to ściśle religijnych wywodów. Prosty człowiek z ulicy czuje, że nasze społeczeństwo trawi nieznośny elitaryzm. Wyidealizowany obraz wymarzonego świata, wolnego od jakichkolwiek granic, który narzuca mu reklama, nie czyni go człowiekiem szczęśliwym, ale niewolnikiem. Posłanie najuboższych stanowi zupełnie inną obietnicę, która dociera do naszych zranionych serc. Są oni najlepszymi ambasadorami życia. To oni uczą nas poszanowania najbardziej odrzuconych istot ludzkich, oni też mogą najskuteczniej wyzwolić bioetykę.

tłum. **Małgorzata Tryc-Ostrowska**